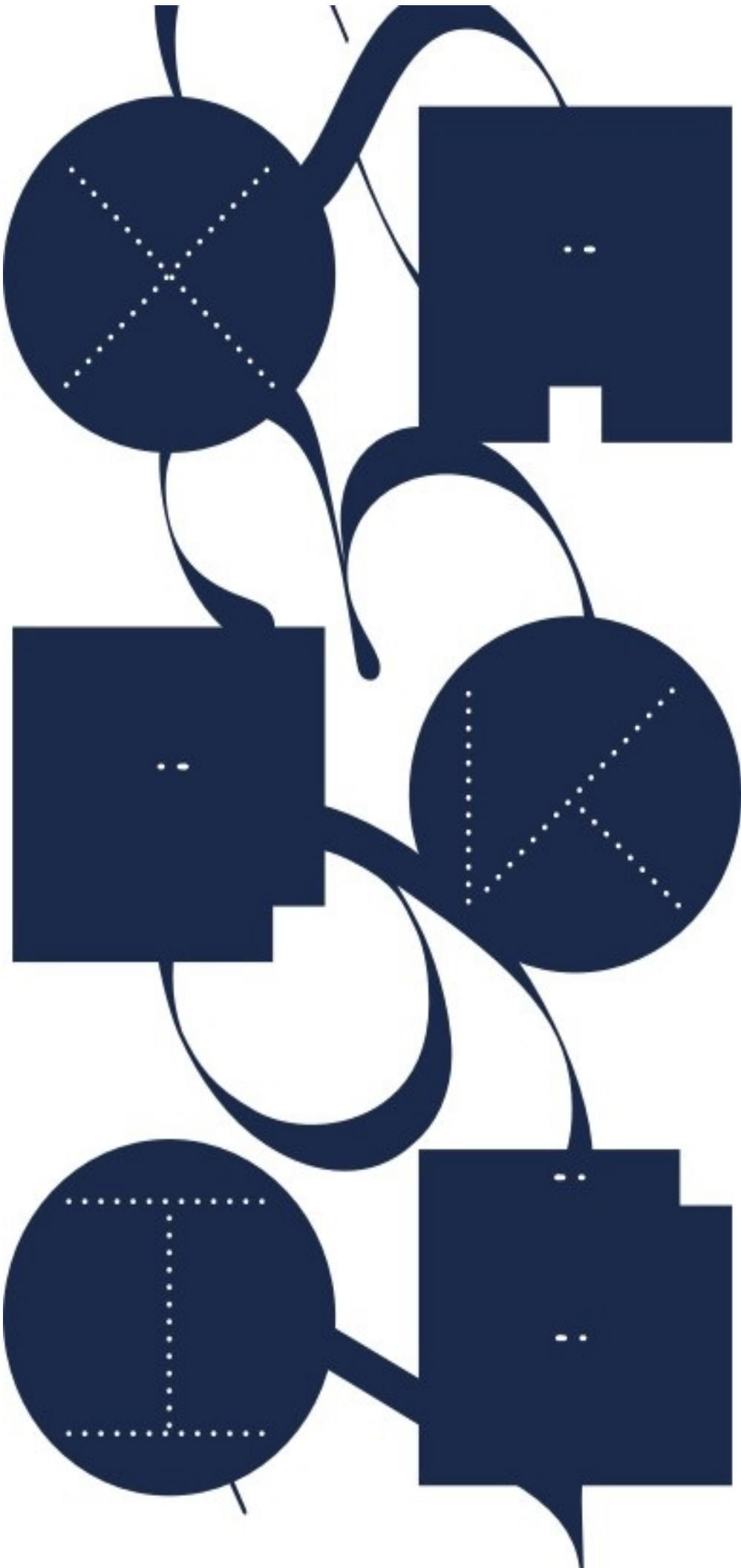


Wschodni Express

Seria wydawnicza

ZASPIEW

zwyczaj i prawa swe mają wsze grody.
kijów zdobywa je, łamiąc przeszkody.
charków ten okres zmarnował z kretesem –
zburzył lenina, lecz został z kernesem.
kijów zabłądził w idei budowie.
bomby mordują cywili w charkowie.
charków o prawach prowadzi rozmowę.
student od dysput spuchniętą ma głowę.
charków nam zrodził jednego ziomala,
tego co bank permanentnie rozwała.
przy nim od gęsi radosnych się roi.
amor wenery nie da im spokoju!
kijów pięściami się w piersi uderza.
charków traktuje go jako szalbierza.
dola państwowa, co bywa też krzywa,
prawa prawnika po swemu używa.
kiedyś w charkowie był pierwszy iluzjon.
kijów jest mitem, zaś charków iluzją.
kijów miłością nam mózgi wyjada,
charków nam bajki wciąż opowiada.
bajki te są wielomówne nadzwyczaj.
każde z tych miast własne drogi wytycza,
co się nie złączą, nie ujednocią.
kijów stolicą.
czyż charków stolicą?



Ołeksandr Irwanec

Char ków 1938

ANTYUTOPIA

PRZEŁOŻYŁ ANDRIJ SAWENEĆ

Warsztaty Kultury / Lublin 2024

„Kochajcie swoją Ukrainę”.

Tar as Szewczenko

Ukrainie i Ukraińcom, których kocham – dedykuję.

Autor

Cześć pierwsza,

w której pojawia się przeważająca więk szość głównych postaci i jakby staje się jasne, o co chodzi

Taganrog
26.04.1938

Zapadał ciepły, wiosenny wieczór.

„Taki oto jest los urzędnika państwowego na emeryturze...” – Wołodimir Wynnyczenko stał w białej jedwabnej koszuli i czarnych wyprasowanych spodniach na tarasie dożywotnio użyzonego mu dwupiętrowego rządowego domku letniskowego, pałac kubańskie cygaro. W oddali paliły się światła najbardziej wschodniego ukraińskiego portu; taras był przestrzenny, zastawiony donicami z małymi palmami, a także ławkami i leżakami. W obszernej sali, do której przylegał taras, pokojówka serwowała kolację. Cicho pobrzękiwało srebro na białym obrusie. Raptem, jakby się opamiętawszy, Wynnyczenko odłożył cygaro do kryształowej popielniczki i przez boczne drzwi wyruszył nie do sali, tylko do swojego gabinetu. Usiadł przy biurku i przysunął do siebie kartkę papieru. Zaostrzonym niczym igłą ołówkiem wymalował na kartce tytuł swojego nowego dzieła: *Słowo należy do ciebie, Kirow!* Miała to być ognista publicystyka, która ostatecznie przekona czytelnika co do słuszności idei komunizmu. Czy też przynajmniej socjalizmu. Jednym słowem, społeczeństwa sprawiedliwego i przychylnego większości obywateli. Nowego uczciwego ładu bez panów i burżujów. Nie zaś tego oto, który buduje Konowalec wraz ze swoją kliką. I jeszcze ten parweniusz Chwyłowy, Azjata nieumyty, wraz ze swoim renesansem! Wynnyczenko objął dłonią bródkę i wpadł w zadumę. Ależ nudy! Co za beznadziejna dziura ten Taganrog! Tymczasem w Charkowie już za kilka dni rozpocznie się karnawał. Jakże chce się tam pojechać i jakże nie chce dzwonić, poniżać, prosić o auto!... Ależ ma on prawo do tego, by chociaż czasami przerwać to honorowe zesłanie!

Nie jest mu zresztą najgorzej. Pokojówka, dozorca, ciepłe morze w lecie. Nie wszyscy mieli takiego farta. Nawiasem mówiąc, ciekawe, co tam teraz słychać u Petlury? Jak on tam się miewa, ten nasz Symon Wasylowycz?

– Proszę bardzo. Od teraz nazywa się pan Simon Petlaru! – adiutant Wasyl Beń podał Petlurze zielonkawy paszport.
– Pochodzi pan z Rumunii, handluje kilimami i innymi wyrobami przemysłu ludowego.

– Też coś! Nie mówię po rumuńsku! – Petlura z obrzydzeniem wziął do ręki dokument, otworzył, zerknął. – Tfu! Petlaru! A niech go!

– Symonie Wasylowyczu... – adiutant wyszeptał to z bardzo bliska, prawie w samą twarz. – Proszę nie zapominać, że jesteśmy poszukiwani międzynarodowym listem gończym. Nasze paszporty nansenowskie są już tropione wszędzie.

– Tropione... – Petlura się skrzywił. – Przy czym nie tylko przez policję.

– Gdyby tylko przez policję... – w tym samym tonie dorzucił adiutant.

– A ty je liczysz? – Petlura spojrzał Wasylowi prosto w oczy.

– Je, to znaczy co? – nie zrozumiał Wasyl.

– Zamachy! Zamachy na mnie, powinieneś je przecież liczyć. Na przyszłość. Dla pamiętników, dla historii.

– Liczę, Symonie Wasylowyczu, liczę – zakiwał zbyt dużą głową adiutant. – Raz jeden tylko pomyliłem się w liczeniu, w ogrodzie Tuileries, ale potem się poprawiłem.

– No to ile już jest?

– Sto trzydzieści... dziewięć... – po krótkiej pauzie i bez większego przekonania odezwał się adiutant.

W tej właśnie chwili przechodzień, który zatrzymał się jakby w celu przypalenia papierosa przy kawiarni, w której siedzieli Petlura i Wasyl, gwałtownie wydobył zza pazuchy granat i cisnął go w kierunku ich stolika.

– Kryć się! – wrzasnął Wasyl, padając i przewracając stolik. Petlura jednak zorientował się wcześniej i już turlał pod sam bufet. Wasyl, przykrywając się stolikiem, na czworakach udał się w ślad za szefem.

Granat upadł dość daleko, jakieś osiem metrów, na dobytek zatoczył się za donicę z fikusem, dlatego też w chwili, kiedy zagrzmiał wybuch, na wszystkie strony rozleciały się grudki ziemi, odłamki desek i duże, szerokie liście.

– Sto czterdzieści! – wyszeptał Wasyl, już zerwawszy się na nogi i zasłaniając się resztkami stolika niczym parasolem przed grudkami ziemi. Petlurze tymczasem udało się wpełznąć pod szynkwias i stąd szybko przebiec do kuchni. Wasyl nie pozostawał w tyle. Razem pomknęli do tylnego wyjścia.

– Panowie nie zapłacili rachunku! – zawołał ktoś w ślad za nimi, ale było już za późno. Obaj wyskoczyli w paryski zmierzch i długo biegli przez jakieś podwórka i zaułki, aż zatrzymali się na bezludnym przystanku tramwajowym. Obok ciurkała mała fontanna. Ledwo odsapnęli, jak z końca ulicy nagle przyleciała i zapiszczała hamulcami czarna sportowa renówka. Trzasnął strzał.

Kula gwizdnęła tuż obok i odłupała skrzydło stojącemu pośrodku fontanny aniołowi. Petlura i jego adiutant nie stracili głowy, prędko pomknęli wokół fontanny i skręcili w bramę dużego żółtego budynku. Podwórze na szczęście było przejściowe. Petlura zatrzymał się i oparł o mur, ciężko posapując.

– Sto czterdzieści jeden! – powiedział Wasyl i przystanął obok.

– Mam już dość – odezwał się Petlura. – Za dużo na dzisiaj. Trzeba u kogoś się schować.

– Tutaj niedaleko mieszka André Gide. Możemy zapukać do niego. On nas wpuści.

Petlura z niezadowoleniem wzruszył ramionami. Wasyl wrócił do wejścia w bramie i wyjrzał na zewnątrz. Auta ze strzelcami na drodze już nie było. Wracać tam jednak się nie chciało.

Adiutant wrócił do szefa i stanął przed nim na baczność.

Petlura, który odzyskał już równy oddech, przez jakąś chwilę żuł wargi, aż wreszcie podjął decyzję:

– Nie chcę do Gide’a. Chodźmy do Romaina Rollanda. A tak w ogóle to powinniśmy zbierać się do Ukrainy. Jest najwyższa pora.

Wasyl bez słowa kiwnął głową.

Obaj ruszyli przez szerokie przejściowe podwórze, czujnie rozglądając się na boki, i slumsy Paryża połknęły ich po raz kolejny.

– Dlaczego nie zabijemy go?

Ołeh ze zdziwieniem podniósł wzrok na Stepana, ale Ołena go wyprzedziła.

– Stefcu, naiwniaku jeden, któż zabija kurę znoszącą złote jajka? – podeszła do Stepana z tyłu i wzięła go w ramiona. – Zupełnie zmarniałeś w tej swojej Galicji. U nas tutaj trwa wielka gra. Nam przecież każdą taką akcją finansuje SBU. I ten hotel, i podróże, i ten granat, który rzuciłeś dzisiaj do kawiarni – to wszystko od nich.

– Ale ja naprawdę chcę go zabić! – Stepan wyswobodził się z jej uścisku i wyprostował, uniósłszy wysoko brodę. – A wyście mi tylko jedną kulę do rewolweru załadowali! Za drugim razem na pewno bym go trafił.

Ołena podeszła do Ołeha i tym razem to jego wzięła w ramiona. Ten odchylił się do tyłu, wtulając w jej piękne, duże piersi.

Stepan wciąż nie mógł się uspokoić:

– On ma zostać ukarany! To zdrajca! Uciekł i bez niego Ukraina poszła w złą stronę!

Ołeh poruszył się do przodu, uwalniając się z uścisku Ołeny.

– Wyjaśniono ci przecież: będziemy to robić bez końca. Kiedyś, być może, wreszcie go zabijemy.

– Ale wtedy ustanie finansowanie – Ołena przysiadła na szerokiej zielonej kanapie i, poprawiając tkany złotem jedwabny szlafrok, cicho dodała: – Jutro zmieniamy dyslokację. W Nanterre został dla nas wynajęty domek. Następnie będziemy działać stamtąd. W tym hotelu robi się niebezpiecznie.

Stepan już trochę się uspokoił. Obejrzał pokój, zasłany koronkowym obrusem stół z pozostałościami obiadu: waza z niedojedzoną zapą szparagową, resztki sera, pomidorów, kilka plasterków szynki na talerzu.

– A w Moulin Rouge jeszcze nigdy nie byliśmy. Powiadają, że tam francuskie dziewczuchy pokazują wszystko, co zechcesz – rzekł trochę spokojniejszym, obrażonym tonem.

– Jak gdybym mało wam tutaj pokazywała – odmruknęła Ołena. Stefko spojrział na nią, nie powstrzymując chciwego uśmiechu. Żeby go ukryć, opuścił głowę i udał, że przygląda się czemuś na sobie, a nawet pogłaskał się po koszuli na brzuchu.

– No dobra! – już pojednawczo powiedział towarzyszowi i towarzyszce broni. – Jutro się przeniesiemy. Kiedyś go jednak zabiję.

– Kiedyś i owszem! – z satysfakcją podsumowała Ołena. – Tylko jeszcze nie następnym razem.

– Zobaczmy... – Stepan jakby przypomniał sobie swoją wcześniejszą determinację, postanowił jednak do niej nie wracać. Tymczasem Ołeh podniósł się i wyjął z kredensu trzy kieliszki oraz ciemną litrową butelkę domowego absyntu. Ciężkie szkło połyskiwało zielenią.

Ołena i Stepan zbliżyli się do stołu. Ołeh połał do trzech kieliszków. Tymczasem Ołena wyjęła z szuflady stołu trzy okazałe kulki haszyszu. Nie umawiając się, wszyscy troje szybko połknęli kulki i popili je absyntem. Ołena się uśmiechnęła. Po kilku sekundach twarze mężczyzn również rozświetliły się uśmiechem. Rozłożywszy szeroko ręce, Ołena przytuliła ich obu. Z Ołehem zaczęła się całować, podczas gdy prawicą wciąż pieściła Stepana. Ten zrewanżował się tym, że zaczął kombinować przy pasku jej szlafroka. Poły rozeszły się, ukazując brak bielizny. Wszyscy troje naraz zrobili kilka kroków i padli na szeroką kanapę. Po chwili jednak Stepan zerwał się, podbiegł do drzwi i zgasił światło. Od tej chwili ciemność pokoju była wypełniona jedynie przez błądźny promień latarni za oknem i błogie pomrukiwanie Ołeny...

Wczesnym porankiem adiutant Wasyl, zostawiwszy przełożonego, pojechał, żeby umówić się w sprawie szybkiego transportu do Ukrainy. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności akurat następnego dnia z Marsylii do Odessy miał wypłynąć drobnicowiec, na który zbierano załogę.

– Udało mi się zapisać siebie i pana do brygady palaczy! – zameldował Wasyl po powrocie.

Petlura wyrwany ze snu poruszył wargami:

– Ile będzie trwał rejs?

– Podobno po dwóch i pół dobach będziemy w Odessie. Tylko jedną wachtę trzeba odbyć – adiutant pomilczał i sprecyzował: – Całą dobę, dwadzieścia cztery godziny.

Petlura wreszcie namyślił się i skinął głową:

– Zbierajmy się.

O poranku, już wybierając się do Nanterre, po załadowaniu sportowej renówki swoim niezbyt licznym dobytkiem i czterema walizkami z ubraniami Ołeny, Ołeh ze Stepanem postanowili wypić jeszcze po filiżance kawy. Ołena

zakręciła się przy kuchence – była przecież kobietą i na kuchni się znała. Po jakiejś chwili więc mieszkanie wypełniły ogniste zapachy kolumbijskich ziaren.

Pozaplanowa sesja pilnej łączności również wypadła na tę poranną godzinę. Ołena zbliżyła się do radioli Siemens i pokręciła gałką dostrajania. Przez wrzask i świst fal eteru nareszcie przebiła się względnie porządna transmisja. Był to program Radia Charków dla Zagranicy. Po emisji wiadomości i nieodzownym koncercie melodii ludowych nadawano krótki program z informacjami i ogłoszeniami prywatnymi. Jewhen z okolic Żytomierza przekazywał pozdrowienia dla siostry w Niemczech i wyrażał chęć spotkania się podczas karnawału w Charkowie.

Ołena się zamyśliła. Słowa kluczowe: Jewhen, siostra, spotkanie podczas karnawału w Charkowie.

Postawiła na stole trzy filiżanki i parującą kawiarękę.

– Nie musimy przenosić się do Nanterre. Powinniśmy jechać do Charkowa.

– Nigdy nie byłem w Charkowie... – pogrążony w zadumie Stepan mieszał cukier w filiżance.

– Tobie się spodoba – Ołeh upił łyk i zagryzł rogalikiem. – Miasto naprawdę jest bardzo piękne. Bądź co bądź stolica Ukrainy.

– Ukraińskiej RRCh – poprawiła Ołena. – To niestety nie jest jeszcze cała Ukraina.

– Jeszcze nie cała do czasu – Ołeh nie zamierzał wchodzić w dyskusję. – Pracujemy jednak na Ukrainę. Mimo że jest to na razie tylko URRCh. W rzeczywistości bowiem Ukraina jest dużo większa.

27.04.1938 r.

Wczesny poranek.

Posterunek graniczny Iwaszki strażnicy w Złoczowie.

Czarna, czarna gleba pod nogami...

Na skraju lasu już delikatnie zieleniły się świeże liście na krzakach głogu i leszczyny, mimo że w parowach jeszcze gdzieś widniały plamy zwietrzałego szarego śniegu. Wiosna po Wielkanocy już coraz bardziej wchodziła w swe prawa – nie przedwcześnie, akurat jak na koniec kwietnia przystało. Kapral Pawłenko, dowódca patrolu pogranicznego, patrzył w dal, gdzie za drutem kolczastym i zaoranym pasem kontrolnym zaczynał się inny kraj. Szeregowy Petrenko bagnetem odłupywał od złocistej sosnowej gałązki cienkie drzazgi, aby łatwiej było rozpalic piec w wartowni – obmurowanej drewnianej budce z długim wąskim oknem na rogu, zwróconym w stronę pasa kontrolnego. Jego nowiutki karabin Mauser stał oparty o ścianę; przed chwilą Petrenko odstawił puste wiadro, z którego wyskrobał do cna zaprawę, podmurowując schodek wartowni wyszczerbiony przez zimowe wiatry oraz niepogodę, i przykucnął przy długiej sosnowej gałązce, zebrawszy długie poły swego szarego płaszcza, aby się nie pobrudził.

Było wilgotno i zimnawo. Trawa już całkiem nabrała odwagi i przebijała się na świat ostrymi zielonymi strzałami. Słońce stało wysoko na niebie i ciepło środka wiosny zuchwale runęło na Ukrainę, ożywiając ziemię po zimie. Niebo było tak osobiwie błękitne, jak bywa tylko w kwietniu, pod koniec kwietnia.

Pawłenko kaszlnął i zwrócił się do szeregowego:

– Ciekawe, jak to będzie, kiedy doprowadzą tutaj Mur Przyjaźni... Jak będziemy wtedy strzec granicy?

– Mawiają, że będziemy wtedy siedzieć na wieżach strażniczych, co sto, sto pięćdziesiąt metrów. I że będą bramy w murze, punkty przejścia.

Petrenko przełamał grubą drzazgę na pół. Drzazga rozczapierzyła ostre końce.

– Ale kiedy to będzie. Teraz dopiero Ługańszczyznę obmurowują...

Powiał lekki wiaterek, potrząsnął gałązkami krzaków.

Petrenko nagle zastygł, podniósłszy bagnet zamarł w na poły siedzącej pozycji i uniół głowę, wpatrując się w pas kontrolny po prawej. Następnie odłożył bagnet i chwycił w rękę karabin.

– Patrz no, coś tam lezie! Stój! Stój, będę strzelał!

Szeregowy przykłęknął na jedno kolano i skierował broń w stronę, gdzie pas kontrolny wyginał się łukiem pod leszczynowym pagórkiem.

Pawlenko, wpatrując się, przymrużył oczy, potem sięgnął po lornetkę, pokręcił jej okularami, podniósł do oczu.

– Czekaj. Wymachuje rękoma. Cóż to takiego jest? – przyjrząwszy się dokładniej, kapral aż odetchnął jakby z ulgą:
– Coś kalekiego, czy co? Zobacz, jakieś kulawe, utyka na jedną nogę. Niech no podejdzie bliżej.

Petrenko opuścił karabin i stanął obok dowódcy patrolu.

Nagle, dosłownie w mgnieniu oka, zerwał się deszcz ze śniegiem – zaczął walić dużymi i ciężkimi białymi płatkami z szarej chmury, która niespodziewanie, nie wiadomo skąd, nadciągnęła niską zastoną nad same wierzchołki sosen. Niewysoka, krępa postać człapała zaorany pasem, potykając się o grudy i wymachując uniesionymi rękoma z dużymi, podobnymi do łap dłońmi, w kierunku pograniczników... Pawlenko i Petrenko, kuląc się pod strugami śniegu, stali bez ruchu... Nieznajomy zbliżał się, chwiejąc i potykając na grubo zaoranej słożożańskiej glebie. Cały czas wymachiwał uniesionymi nad głową rękoma z rozczapierzonymi dłońmi i coś bełkotał – nieczytelnie, ale głośno i uporczywie.

Pogranicznicy spojrzeli po sobie. Śnieg walił coraz mocniej, zalepiając oczy i twarze... Postać za drutem kolczastym powoli się zbliżała, wciąż wymachując wystawionymi do przodu rękoma.

Karczma Zwiahel

Pod wieczór w środę, 27 kwietnia 1938 roku, pułkownik SBU Jurij Kociuba, skręciwszy z Traktu Wołyńskiego, przejechał kilka obskurnych uliczek, starannie omijając doły wypełnione kaczkami i pomyjami, aż wreszcie zatrzymał swego wiśniowego lincolna przy drewnianych schodach karczmy Zwiahel w zachodniej części Nowogrodu. Kłapnął drzwiami auta i w rozpiętej skórzanej kurtce, pokonując co dwa schodki, szybko wszedł do ciemnego pustego lokalu i usiadł przy stole w głębi. Obok stało kilka kartonów po wódce, wypełnionych papierkami po cukierkach i skorupkami kraszanek.

Za lady, tuż przy drzwiach kuchni, rzuciła na niego badawcze spojrzenie wysoka szczupła kobieta w chustce i długiej kraciastej sukni. Najpierw chciała podejść do klienta sama, potem jednak powstrzymała się i, obejrząwszy się w głąb kuchni, zawołała męża. Po chwili drzwi wypełniła ogromna tusza – to przeciskał się przez nie Fima, właściciel karczmy i wieloletni agent informator Kociuby. Ostrożnie, prawie że bokiem, ominął ladę, wziął z rąk żony kufel piwa, którego przed chwilą natoczyła z beczki, i kaczym chodem ruszył z nim do stolika.

Postawiwszy kufel przed pułkownikiem, Fima oparł się ręką o krawędź stolika i ciężko usiadł na ławce naprzeciwko. Drewno wydało zdesperowany skrzyp.

– Zdrów bądź, Juchymie! – przywitał się pułkownik i umoczył wąsy w ciemnym płynie. Piwo było świeże i smakowało wyśmienicie. – Porządny chmiel...

– Nie mówcie na mnie Juchym – powiedział przez nos karczmarz niespodziewanie wysokim jak na jego posturę głosem. – Jestem Fima. Urodziłem się jako Fima i jako Fima umrę. A piwo w tym roku rzeczywiście jest niezłe. Gdyby też cała reszta...

– A co jest nie tak z całą resztą? – pułkownik wziął dwa duże hausty i z zadowoleniem odchylił się na oparcie. Pragnienie zostało ugaszone i poczuł, że jednak trochę się zmęczył po całym dniu.

– No właśnie! – Juchym położył obie ręce na stole i lekko się schylił. – Sami wiecie, jak to jest tutaj, przy tej granicy. Wcześniej szło całkiem dobrze, a teraz mamy tu wszystko i tanio, żadnego zysku z przemytu. Przecież cła na wszystkie towary zostały obniżone lub wręcz zniesione, jaki teraz sens...

– Ach ty stary szmuglerze! – Kociuba się uśmiechnął. – Nie ma czego przemycać? Nie wierzę!

Karczmarz podrapał się olbrzymim paluchem po olbrzymim nosie, po czym ponownie położył dłonie na stole, przeplatając grube palce porośnięte jasnymi włoskami. Spojrzał prosto w oczy gościowi i krzywo się uśmiechnął.

– No dobra, Mychajłowyczu. Jest jak jest. Chociaż też myślę, żeby zabierać się stąd. Może na przyszłą wiosnę. Ale wam co innego mam do powiedzenia.

– Słucham... – Kociuba już wypił połowę piwa i, potrząsając kuflem, patrzył z lubością, jak przelewa się ciemny złocisty płyn, wieńcząc się pianą na brzegach. – Coś ważnego?

– Sam nie wiem... – karczmarz jeszcze bardziej schylił się nad stołem, tak że z jego ust uderzył zapach czosnku. Kociuba z powrotem odchylił się na oparcie. – Mówi się, że podobno trzeba czekać na kogoś takiego... potężnego...

– Że co? Kogo takiego potężnego? – pułkownik podniósł głowę w zdziwieniu. – I skąd takie informacje?

– Był człowiek po tamtej stronie – Fima kiwnął głową gdzieś sobie przez ramię, jakby w kierunku zachodnim, w stronę granicy. – Tam u nich w Korcu teraz kawaleria stoi. Pułk tej ichniej... Straży granicznej, jak to oni nazywają. I ich dowódca tu przyjeżdżał niedawno. Po zmierzchu, na godzinkę. Też nasze piwo zachwalał... Rozglądał się, co tutaj u nas, wypytywał...

– Nie przeciągaj – pułkownik obdarzył karczmarza poważnym i nieprzychylnym spojrzeniem. – Mów do rzeczy.

– Przecież właśnie do rzeczy mówię. Pochwalił piwo, zapłacił tymi swoimi złotymi. I mówi do mnie: „A wie pan, że niedługo ktoś ma przybyć do tej waszej Ukrainy?”. A ja go pytam: „Cóż za jeden?”. A on do mnie: „Nic dokładnie nie wiadomo. Ale to ktoś taki potężny i niebezpieczny, że nawet broń mu nie jest potrzebna, aby narobić bigosu...”. I tyle. Zebrał się i pojechał.

Pułkownik Kociuba zamyślił się, kręcąc palcami kufel z resztkami piwa na dnie. „Ktoś taki potężny i niebezpieczny...”. Potężny i niebezpieczny... Jeśli tylko to nie są czcze gadki...

– A skąd ten ktoś ma przybyć? Od nich? – Kociuba kiwnął głową mniej więcej w tym samym kierunku co Fima, na zachód, w stronę granicy.

– Któż to wie. Też go o to pytałem. Czy aby nie z Litwy? Powiedział, że „nie wiadomo”. Nie wiadomo skąd, mówi, przyjdzie ten tak potężny. Ale jest naprawdę fest potężny. Tak właśnie powiedział: „fest”.

Pułkownik ponownie zamyślił się przez chwilę. Wątpliwe, by polski oficer opowiadał takie rzeczy ot, tak po prostu. Przyjeżdżał przecież najwyraźniej nie w celach turystycznych. Chociaż z innej strony to może być wymysłem, sprawdzianem czujności, próbą przekierowania uwagi. Może być różnie.

– No a jeśli chodzi o całą resztę, jak ci się tutaj wie? Jak rodzina? Nikt nie choruje, wszyscy zdrowi?

– Teściowa nie żyje od trzech już lat, a cała reszta, tfu, tfu, na psa urok... – Fima podrapał się po podbródku i nachylił się poufnie, celując haczykowatym nosem w blat stolika i zionąc odorem czosnku. – Zamierzam, Mychajłowyczu, sprzedać ten szynk. Interes już ledwo się kręci. Tymczasem słyszałem, że na Donbasie teraz życie dopiero się zaczyna. No to myślę sobie, że zbiorę do kupy wszystkie zaskórniaki, co przez całe życie odłożyłem, i kupię sobie kopalnię tam, na Doniecczyźnie. Węgiel jest teraz drogi. Być może akurat wypali.

Pułkownik wzruszył ramionami:

– Sam wiesz, Juchymie, u nas wolna przedsiębiorczość nie jest karana. Jesteś panem swojego kapitału. Rób jak chcesz, tylko mnie poinformuj. Żebym wiedział, gdzie cię szukać, gdy będziesz potrzebny.

– Nie mówcie na mnie Juchym! – znowu wysoko zawył karczmarz, ale Kociuba już się podniósł, rzucił na stół dwie hrywny w jednym banknocie i ruszył w kierunku wyjścia, wydając drewniany stukot obcasów.

Nad linią horyzontu po lewej, wśród obszarpanego młodziwa chmur, blado świecił się i sunął gdzieś na wschód, równoległe do trasy, samotny sterowiec pocztowy, raz znikając w niebiańskiej mgle, to znów wynurzając się niewyraźnym świetlistym kłębkim. W głębi nieba, nad sterowcem i chmurami, rozpostarł się gwiazdozbiór Kasjopei. Na obrzeżach wsi, przy skraju lasu, czasami migały ledwo podświetlonymi okienkami prywatne farmy rozplodowe – wysokie, białe farmy ptaków oraz niższe, szare farmy jeży. Od czasu do czasu w światłach reflektorów pojawiały się skrzepy mgły o chimerycznych kształtach – i rozlatywały się, przecięte stalową maską.

Droga do Żytomierza była jeszcze marniutka, z kolei na nowej betonówce do Kijowa Kociuba rozpędził jednak swego lincolna. Nocną trasą jechało niewiele aut. Pułkownik w skupieniu patrzył w głąb świetlistego stożka mknącego przed samochodem. „Ładna ta droga. Da się przyzwoicie rozpędzić. Do Odessy również niezłą mamy drogę, a najlepsza to trasa Charków–Kijów. Rozbudowała się po trochu Ukraina przez te lata. Ludzie przesiadają się do samochodów, chłopcy opanowali traktory i kombajny. Młodzi śmigają na markowych motocyklach...”

W tej właśnie chwili obok lincolna przemknął motocyklista. Był tęgi, krępy i miał puciołowatą, spierzchniętą, nieogoloną twarz. Miał na sobie kask i skórzaną kurtkę. Spod kasku wystawały długie płowe włosy, a spojrzenie motocyklisty było ponure i skupione. Najważniejszą częścią podróźnego był jednak jego motocykl. Ciężki, potężny, ze skórzanymi kuframi po obu stronach i dużym wypukłym reflektorem z przodu. Był to Indian, przy czym najnowszy model. Malutka tablica rejestracyjna, najwyraźniej zagraniczna, zachlapana była szaroburym błotem. Po pół minucie motocyklista roztopił się w ciemności z przodu.

Żeby nie dać się sennie na pustej trasie, Kociuba pokręcił gałką odbiornika radiowego. Prezenter właśnie czytał ostatnie wiadomości:

„Przechodzimy do wiadomości zagranicznych. Wciąż trwa i eskaluje krwawy trójstronny, polsko-litewsko-lietuwański, konflikt. Prezydent Wielkiej Litwy Andrej Chadanowicz zwołał pilne posiedzenie Gabinetu Ministrów, zaś prezydent Litwy, Marius Ivaškevičius, w swojej rezydencji w Kownie ogłosił natychmiastową mobilizację powszechną. Tymczasem w Wilnie toczą się zacięte walki. Jedno z najpiękniejszych miast Europy leży praktycznie w ruinach. Polskie siły zbrojne odpierają ataki powstańców. Jutro w Genewie Liga Narodów zwołuje nadzwyczajne posiedzenie, na którym omawiana będzie kwestia przewyciężenia tego przedłużającego się konfliktu.

Wiadomości kulturalne. Po udanym występie reprezentacji URCh na Igrzyskach Olimpijskich w Berlinie dwa lata temu, artyści z Ukrainy i Niemiec zaczęli zacieśniać relacje twórcze między sobą. Przykładowo: ukraiński reżyser Ołeksandr Dowżenko rozpoczął pracę nad filmem *Triumf mocy*, który realizuje we współpracy z niemiecką reżyserką Leni Riefenstahl. W najbliższym czasie w Charkowie ma się odbyć kolejny etap kręcenia zdjęć. Tym razem przedmiotem zainteresowania mistrzów kina stanie się coroczny Proletariacki Karnawał w Charkowie, który odbędzie się jak zawsze w dniach 1 i 2 maja.

A na zakończenie audycji, nasi szanowni słuchacze, przypominamy, że jutro, 28 kwietnia, Prezydent Ukrainy Jewhen Konowalec wygłosi doroczne orędzie do narodu i świata. Orędzie transmitowane będzie przez wszystkie stacje radiowe URCh. W kolejnej części naszego programu wysłuchają państwo rozmaitości muzycznych Ukrainy. Koncert muzyki i pieśni ludowych!”

Uderzyły cymbały, zahuczały bębny, wrzasnęły skrzypce i kobiecy chór zaśpiewał: „A mój miły prosi o pierożki!...”

Pułkownik poczuł się aż nazbyt zmęczony, wyłączył radio i postanowił przenocować w Kijowie i dobrze przemyśleć to, co usłyszał od Fimy. Dodał gazu i o trzeciej w nocy już parkował auto na parkingu służbowym SBU przy Wołodymyrskiej. Pokoje gościnne dla wyższego korpusu oficerskiego znajdowały się w budynku obok.

Tymczasem czarny motocyklista, który wyprzedził Kociubę, w odległości jedynie kilku przecznic, w hotelu Hilton-Kyiv przy placu Sofijskim, również szykował się do snu. Motocyklista był Amerykaninem i nazywał się Alex Saynee. Do Ukrainy wjechał z Polski przez Nowogród. Alex Saynee był reżyserem filmowym i przyjechał do URCh kręcić film dokumentalny o bandurzystach. Pewnego razu bowiem w centrum Paryża usłyszał bandurę, niezwykły instrument, na którym pięknie grał mężczyzna o dziwacznym wyglądzie. W hotelu Saynee zapłacił za dwie doby, chciał jeszcze zwiedzić Kijów. Umywszy zęby przed snem, wyłączył światło i położył się do łóżka. Zegar na soborze gdzieś w pobliżu wybił kwadrans po trzeciej.

W Kijowie

O poranku, około dziesiątej, Kociuba obudził się i jeszcze senny pocłapał pod prysznic. Powoli wracał myślami do poprzedniego dnia i w pierwszej kolejności przypomniał sobie tamto, teraz już śmieszne, „ktoś taki potężny”. Potężny? No i co z tego? Jest kontrola na przejściach granicznych. Granicę przecież już od jakichś piętnastu lat mamy pilnie strzeżoną. Namierzymy delikwenta!... A jeśli będzie szedł na piechotę, nielegalnie – postrzelimy na granicy. Trzeba zadbać, aby wydano tajny rozkaz dla wojsk pogranicznych. Strzelać bez ostrzeżenia. Na przykład „w związku z zaostreniem sytuacji politycznej w kraju i za granicą”. Tak. Czy może jednak nie? Może nie warto płoszyć gościa. Lepiej zwinąć go cichutko. Ale do tego trzeba najpierw go namierzyć. Oto właśnie jest twoje podstawowe zadanie... Po wytarciu się i uczesaniu Kociuba założył świeży komplet jedwabnej oficerskiej bielizny, niebieskie bryczesy oraz półwełnianą bluzę, po czym przejrzał się w lustrze. Wypisz wymaluj Clark Gable! Barczysty, postawny, z eleganckim czarnym wąsikiem. Bródkę przestał nosić bodajże pięć lat temu. Zachciało się wyglądać młodziej.

„Ktoś taki potężny i niebezpieczny...”. A niech go, brednie to wszystko.

Przebierał w myślach „swoich” podwójnych agentów, tych, którzy wciąż współpracują z rosyjską WCzK. Było ich niewielu, trzech lub czterech. Dwaj są tutaj, w bezpośrednim sąsiedztwie. Jeden w Kijowie, drugi trochę dalej, w dół Dniepru. W pierwszej kolejności trzeba spotkać się z nimi.

Przysiadł na aksamitnej sofie (wystrój pokoi dla wyższych oficerów był jakiś barokowo-wyszukany), powoli założył wysokie skórzane oficerki, które dyżurny wypastował na korytarzu w czasie nocnego wypoczynku pułkownika. Podniósł się, poprawił poły skórzanej kurtki i zadowolony z własnego wyglądu wyszedł na ulicę Wołodymyrską.

Skręciwszy na dosłownie pierwszym skrzyżowaniu w lewo, w Prorizną, Kociuba poszedł lewym chodnikiem, i po kilkuset metrach wbiegł schodami do Szkoły Robotniczo-Chłopskiej nr 48. Tutaj, na stanowisku zastępcy dyrektora ds. wychowania narodowego, pracował podwójny agent Petrow.

Leciwy dozorca przy wejściu od razu się zorientował, że ma przed sobą ważnego gościa. Wyszedł zza lady, podprowadził pułkownika do rozkładu zajęć i pomógł znaleźć numer sali, w której w tej chwili Wiktor Petrowycz prowadził lekcję historii. „Najnowsza historia Ukrainy”, proszę bardzo, sala trzydzieści osiem, to aż na drugim piętrze, w końcu korytarza.

Kociuba z przyzwyczajenia pokonywał co dwa schodki, mimowolnie przysłuchując się dźwiękom szkoły: tu oto dziecięce głosy bezładnie zawodzą do wtóru pianina piosenkę Łysenki *Jestem Liska, mieszkam blisko*, z innej sali donosi się monotonne dyktowanie: „Naszą rodzimą Ojczyzną jest Ukraińska Republika Robotniczo-Chłopska. Stolicą naszego państwa jest miasto Charków”. Na trzecim piętrze, za drzwiami, słychać recytowany wiersz do nauczenia się na pamięć:

Skończył się bój. Krwawa czerwień sztandarów

Zatrzepotała nad stacją na nowo.

Podszedł do jeńców spędzonych do jaru

Hardy politruk ze słowem:

„Są Ukraińcy wśród was, wiem na pewno,

Pieczeń pocisku każdego z was czeka...”.

KONIEC WERSJI DEMONSTRACYJNEJ

Table of Contents

[Strona przedtytułowa](#)

[Motto](#)

[Strona przytytułowa](#)

[Strona tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Część pierwsza](#)

